

Wywiad publikowany w numerach:

4 (42) [s. 26-29; www.pte.pl/pliki/1/68/Biuletyn_4_2009.pdf]

6 (44)/2009 [s. 11-14; www.pte.pl/pliki/2/1/Biuletyn-kolor122009.pdf]

2 (46)/2010 [s. 15-19; www.pte.pl/pliki/2/1/Biuletyn_2_2010.pdf]

"Biuletyn Ekonomiczny PTE"

(ISSN 1507-1383)

„O metodologii nauk ekonomicznych” - z prof. Grzegorzem W. Kołodko rozmawia dr Marcin Wojtysiak-Kotlarski

MWK: Bardzo odważna jest ostatnia książka Pana Profesora zatytułowana "Wędrujący świat" (www.wedrujacyswiat.pl). Odbieram ją jako nieortodoksyjną, politycznie śmiałą próbę poszukiwania nowego paradygmatu w ekonomii, a nawet więcej – w naukach społecznych. Książka jest szeroko dyskutowana, nie tylko wśród teoretyków i nie tylko pośród ekonomistów. Ukazała się masa recenzji pisana także przez filozofów, historyków, socjologów, psychologów, antropologów, prawników, ekologów, a nawet przyrodników i inżynierów. Psycholog, profesor Czapiński, stwierdził: "Książka jest świetnie napisana, jest przebogata i można ją, jak Biblię, studiować od początku do końca i od końca do początku", a redaktor Andrzej Ziemiński napisał, że "Podobny charakter jak 'Wędrujący świat' miał wydany w roku 1970 'Szok przyszłości' Alvina Tofflera czy 'Koniec historii' Francisa Fukuyamy z roku 1989... Cały cywilizowany świat o nich mówił... podobną rolę odegra również ta książka." Oczekuje Pan tego?

gwk: Trzeba rozkołysać i odpowiednio ukierunkować dyskusję, bo nierzadko zmierza na manowce, czy też kręci się w kółko, bez przełomowych efektów, wokół tych samych zagadnień. Uważam, że w ramach obowiązującego dotychczas paradygmatu nie da się już wiele naprzód posunąć myśli ekonomicznej. Ani od strony deskryptywnej, ani od normatywnej. Dlatego też dochodząc mechanizmów długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego – a to jest sedno "Wędrującego świata" – szukam innego paradygmatu i zgłaszam nowe propozycje. W szczególności jest to koincydencji teoria rozwoju wyjaśniająca istotę przemian społeczno-gospodarczych, ZIP, czyli zintegrowany wskaźnik pomysłowości, nowa szersza i bardziej adekwatna dla przyszłości miara postępu kulturowo-ekonomicznego, oraz nowy pragmatyzm jako podstawa opracowywania sensownych strategii rozwoju.

MWK: Tak, ale są ekonomiści, którzy ograniczają się wyłącznie do ujęcia deskryptywnego.

gwk: Są. Znam i taki pogląd, że ujęcie normatywne nie jest już nauką, gdyż bliższe jest polityce gospodarczej jako formie aktywności publicznej niż ekonomii jako dyscyplinie naukowo-badawczej. Nie zgadam się z takim podejściem, ekonomia bowiem ma dwa oblicza – opisowe i postulatywne. Warto może wspomnieć tu Profesora Janosa Kornai, jednego z najwybitniejszych ekonomistów naszej części świata. Poznaliśmy się jeszcze w 1988, kiedy obaj gościliśmy w Helsinkach, w ONZ-owskim Światowym Instytucie Badawczym Ekonomii Rozwoju (WIDER – World Institute for Development Economics Research). Otóż Kornai największe swe dzieła napisał do tamtego mniej więcej czasu. I była to ekonomia typowo deskryptywna. W szczególności objaśniał on socjalistyczną gospodarkę centralnie planowaną jako gospodarkę niedoborów. Z kategorii niedoborów stworzył wręcz oś swej teorii systemu realnego socjalizmu. Jego twórczość tamtego okresu – od "Anti-Equilibrium" (1971) po "The Socialist System: The Political Economy of Communism" (opublikowana dopiero w 1992, choć napisana przed 1990 rokiem) charakteryzowała się w zasadzie brakiem rozważań normatywnych. Gdy niedawno się spotkaliśmy, przekonywał mnie, że to dlatego, iż już wtedy był przekonany o niereformowalności tamtego systemu, więc nic nie pisał, jak go poprawiać. Nie wiedział kiedy i jak to się stanie – bo nikt tego nie wiedział – ale z jego teorii wynikało niejako *implicite*, że system ekonomiczny bloku wschodniego musi upaść, bo nie jest dostatecznie efektywny i konkurencyjny. Dopiero po 1990 roku Kornai przechodzi także na płaszczyznę ekonomii normatywnej, ale są to już dużo słabsze prace, mało innowacyjne i w nikłym stopniu wpływające na kształtowanie nowej rzeczywistości. Nawiązuję do tego po to, by pokazać, że w ekonomii można ograniczyć się do ujęcia wyłącznie opisowego, choć zawsze jest miejsce także na postulatywne. Zawsze bowiem – nawet w schyłkowych systemach czy kryzysowych sytuacjach – można zmierzać do poprawy sytuacji. Jest to zarówno kwestia metodologii, jak i wartości.

MWK: W dyskusji o podejściach metodologicznych w nauce nie ma jednoznacznie obowiązującej koncepcji, którą podzielają wszyscy. Można powiedzieć, że historia filozofii nauki zna wiele prądów i koncepcji myślowych, które poznawane są przez naukowców z różnych dziedzin wiedzy i które stanowią często punkt wyjścia do określenia własnego podejścia badawczego poszczególnych szkół czy pojedynczych badaczy. Jako klasyczne wymienia się m. in. poglądy Newtona, Kartezjusza czy też Berkeleyya; z czasów bardziej nam współczesnych przywołać można poglądy Poppera, Lakatosa, Kuhna czy Feyerabanda. Czy mógłby Pan wskazać osobę/poglądy na temat metodologii nauk, które wywarły największy wpływ na Pana drogę rozwoju naukowego? Jakie były kluczowe doświadczenia w Pana rozwoju naukowym, które miały związek z kwestiami metodologicznymi w nauce?

gwk: Zawsze przyznaję się do swego promotora, u którego pisałem pracę magisterską i doktorską, a i później dużo współpracowaliśmy i toczyliśmy niekończące się debaty. Mam na myśli Profesora Maksymiliana Pohorille, który zmarł kilka lat temu. Bardzo wiele nauczyłem się od niego. Na dobrą sprawę, to on zrobił ze mnie ekonomistę. Mieliśmy przy różnych okazjach wiele dyskusji metodologicznych, choć nie były one jakoś specjalnie zorganizowane. Przyglądałem się także innym uczonym. Z polskich ekonomistów muszę wspomnieć zwłaszcza Profesora Józefa Pajestkę, a z socjologów Jana Szczepańskiego. Z zagranicznych sporo zawdzięczam mądrości i radom Profesora Domenico Mario Nutiego, z Università di Roma "La Sapienza" i London Business School, najwybitniejszego zachodniego ekonomisty wśród zajmujących się w pierw reformami gospodarki socjalistycznej, a później posocjalistyczną transformacją.

Pomijając prawie już zapomniane zajęcia na Studium Doktoranckim SGPiS w latach 1970. nigdy nie odbyłem systematycznych studiów z metodologii badań ekonomicznych. Raczej było to uczenie się poprzez wchodzenie w głąb tej nauki i zdobywanie kolejnych doświadczeń. Klasyczne *learning by doing*. Sporo rozglądałem się wokół w trakcie kolejnych wizyt w rozmaitych ośrodkach naukowych i badawczych. Nie tylko w Europie. Także w USA, od uniwersytetów Yale, gdzie kontaktowałem się z Profesorem Jamesem Tobinem, i Urbana-Champaign, gdzie napisałem wspólnie z profesorem Walterem McMahonem artykuł opublikowany w "Kyklos", po Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, gdzie podczas semestralnego pobytu w 1998 miałem okazję współpracować z Profesorem Josephem Stiglitzem nad "Konsensusem Post-Waszyngtońskim". Później wiele inspiracji intelektualnej przyniosły liczne wizyty w Chinach, bo tam nie tylko można wiele podpowiedzieć, ale także od niektórych wybitnych ekonomistów, jak chociażby od Profesora Justina Yifu Lina, czegoś się dowiedzieć.

To wszystko wiodło do heterogeniczności i nieortodoksyjności. A także do politycznej niepoprawności – od pracy magisterskiej w roku 1972 na temat nierównowagi rynkowej w Polsce poprzez doktorat w 1976 roku na temat cykliczności wzrostu w gospodarce centralnie planowanej do książki "profesorskiej" na temat inflacji w gospodarce socjalistycznej napisanej w latach 1984-85. I zawsze potem. Stosowana przeze mnie metodologia jest zatem efektem aktywności intelektualnej i nieustannych poszukiwań przez wszystkie dotychczasowe lata pracy. Jest to rezultat bardziej spontaniczności niż planowej akcji. Tak wyszło.

MWK: Ciekawe, że Pan wspomniał prof. Pohorille, bo przypomina mi się jak kilka lat temu mój szef, prof. Kasiewicz, również wspomniał o prof. Pohorille jako o człowieku istotnym z punktu widzenia rozwoju nauki w Polsce.

gwk: Na pewno działalność Profesora Pohorille wniosła olbrzymi wkład do polskiej, i nie tylko, myśli ekonomicznej. Po niektóre jego prace dawno już temu pisane nadal warto sięgać. Także ze względów metodologicznych. Od tej strony to wzór rzetelności. Był to człowiek świątły, intelektualnie otwarty i niekonwencjonalny. Wiele się od niego nauczyłem.

MWK: Czy, a jeżeli tak, to jak kwestia braku możliwości określenia w praktyce precyzyjnego podziału pomiędzy poszczególnymi naukami społecznymi rzutuje na prawidłowość procesu poznania? Jakie szczegółowe uwagi można wyrazić w powyższym kontekście pod adresem ekonomii, a jakie pod adresem zarządzania? Czy mamy do czynienia ze swoistą rywalizacją nauk społecznych o ich pola badawcze? Jak powyższe wpływa na proces powstawania wiedzy?

gwk: Nakładanie się obszarów badawczych jednym komplikuje proces naukowy, innym nie. Mnie to wręcz pomaga. W „Wędrującym świecie”, nawiązując do znanej frazy przypisywanej Einsteinowi, że myślenie ma przyszłość, wywodzę, iż interdyscyplinarne myślenie ma wielką przyszłość. Dzisiaj w ramach jednej dyscypliny nauki – może to być ekonomia albo socjologia w naukach społecznych, czy też fizyka albo chemia w przedmiotach ścisłych – poszukiwanie wielkich odkryć, kreowanie wielce nowatorskich koncepcji czy też innowacji teoretycznych jest względnie rzadkie. Współcześnie najciekawsze problemy tkwią na styku dyscyplin. I tam też – na tym styku – znajdują się ich rozwiązania. Jeśli ktoś chce uprawiać naukę przez duże N, jeśli ktoś chce być uczonym, a nie naukowcem czy pracownikiem naukowym, jeśli ktoś chce być artystą, a nie rzemieślnikiem czy chałturnikiem, to musi uprawiać podejście interdyscyplinarne. Naprawdę interdyscyplinarność ma wielką przyszłość.

MWK: To w takim razie jak uprawiać tę naukę przez N, interesując się szeroko otaczającym nas światem, jeżeli, pragmatycznie podchodząc do sprawy, mamy ogromną literaturę naukową, dostępną często w odległości jednego kliknięcia myszką. Jak planować efektywnie we współczesnych czasach prace badawcze?

gwk: To wielka sztuka. Dobrze, jeśli wspiera ją intuicja, ale przecież nie można się na niej opierać. Po pierwsze, trzeba opanować umiejętność nie czytania bezwartościowej czy niewiele wartej literatury, która jednak dominuje. Tak jak marne filmy w kinie czy nudne nagranie muzyczne. Pytany o to jak rzeźbi tak piękne posągi, Michał Anioł spojrział na Dawida i odrzekł: to proste, biorę bryłę marmuru i – wiedząc, co pragnę osiągnąć – długo studiuje jej strukturę, a potem wyrzucam wszystko, co niepotrzebne. Jakież to proste, a jakie genialne! I to jest ta metoda. Notabene, tę anegdotę o Michale Aniele onegdaj opowiedział nam właśnie Profesor Pohorille. Tak więc trzeba śmiało odróżniać ziarno od plew, co jest w pewnym stopniu sztuką, ale także techniczną umiejętnością.

Nie mam żadnej recepty, jak właściwie wykonywać tę pracę; umiejętność ta przychodzi z czasem. Im szybciej, tym lepiej. Trzeba wiedzieć, czego nie należy czytać. Przede wszystkim nie należy czytać gazet, bo to jest totalne marnowanie czasu. Jeśli pracownicy nauki, bywa, że z tytułem profesorskim przed nazwiskiem, powołują się w swych pracach na gazety jako źródło, a gazety nie powołują się na profesorów, to jest to chory układ. Ale niestety większość ekonomistów więcej czasu spędza na lekturze gazet – i oglądaniu telewizji – niż na studiach literatury. Jak tu uprawiać prawdziwą naukę, gdy w głowie, miast klarowności, szum informacyjny? Stąd już krok do inspirowania się publicystyką, wdawania się w spory ideologiczne i kłótnie polityczne, oczywiście z marnym tegoż, jeśli jakimkolwiek, efektem naukowym.

Na własny użytek dzielę tych, którzy parają się „nauką” na trzy grupy: artystów, rzemieślników i chałturników. Artystów na palcach jednej ręki można policzyć (znamienita jest opowieść, też zasłyszana od Profesora Pohorille, o pewnym dostojnym profesorze, który zwykł mawiać: w mej specjalności prawdziwych uczonych policzyć można na jednym palcu ręki...). Rzemieślników jest sporo, bo są bardzo potrzebni, tak jak ma to miejsce w rzemiośle sensu stricte. Podczas gdy wybrańcy potrafią wyrzeźbić Dawida, jak zrobił to Michał Anioł, inni z kolei po prostu dłubią mozolnie dłutem, aby wykonywać seryjnie figurki cierpiącego Chrystusa czy wesołych krasnali, które potem sprzedawane są na jarmarkach. Oczywiście, można też seryjnie tłuc kopie Dawida i też sprzedawać na jarmarku. Obie te formy aktywności – sztuka i rzemiosło – są społecznie i ekonomicznie użyteczne i ich potrzebujemy. Dlatego bynajmniej nie jest zmarnowany czas poświęcony na prace przyczynkarskie i analityczne, na rozmaite studia przypadków i aplikacje. Ale oprócz tego jest jeszcze trzecia grupa osób, czyli chałturnicy, dla których własna wiara bądź udawanie, że coś tworzą, jest po prostu sposobem zarabiania na życie. I ta grupa stanowi przeważającą część tzw. pracowników naukowych. Pierwsza grupa to twórcy, druga i trzecia – odtwórcy, przy czym różnią się oni od siebie skalą użyteczności swych działań. Wszystkie te typy znajdzie Pan na każdej uczelni, Pańskiej i mojej też. Także na Yale i na Łomonosowie; byłem, to wiem. Artyści tworzą, rzemieślnicy odtwarzają i udają, że tworzą, a chałturnicy udają, że odtwarzają.

MWK: To jak Pan sam odpowiedziałby na pytanie, co to jest nauka?

gwk: Nauka to tworzenie wiedzy, a nie odtwarzanie poglądów zapożyczonych od innych, choćby one same z siebie były wielce naukowe. Nauka to obserwowanie i wychwytywanie obiektywnych prawidłowości rządzących zjawiskami i procesami oraz formułowanie z ich wiązek praw, w oparciu o które budować można teorię. To ostatnie wszakże to już najwyższa szkoła jazdy, to już ta nauka przez N.

MWK: A uczonego? Kogo można uznać za uczonego?

gwk: Aby zasługiwać na miano uczonego, trzeba świecić własnym światłem. Większość badaczy wszakże świeci, jeśli w ogóle, jedynie światłem odbitym. W powszechnym odbiorze, który niestety udziela się również części elit intelektualnych, wybitny naukowiec to sławny naukowiec. Dotyczy to szczególnie ekonomistów, bo tym najłatwiej osiągnąć publicity poprzez występowanie w telewizji i wypisywanie w gazetach. Telewizyjne gadulstwo i gazetowa pisanina jest po stokroć łatwiejsza niż naukowa twórczość, a zarazem jest źródłem popularności i, często, pieniędzy. A w rezultacie splendoru i, w niektórych przypadkach, nawet władzy. I tak oto "znany ekonomista" staje się "wybitnym ekonomistą", choć brak jego wybitnych, autentycznie naukowych dzieł – bo nie istnieją – nie tylko w U.S. Congress Library, ale nawet w Bibliotece Narodowej. Dobrze jeśli chociaż są erudydami, bo przeczytali dużo napisanych przez innych autorów książek (tych, które warto czytać) i mają umiejętności retoryczne i dydaktyczne. To też cenne i potrzebne.

Oczywiście i u nas są wybitni uczeni, że wymienię tylko Profesora Władysława Szymańskiego, którego osobiście uważam za najwybitniejszego współczesnego polskiego ekonomistę, czy też Profesora Witolda Małeckiego, o którym też mało kto słyszał. Pan zna te nazwiska?

MWK: Prof. Szymański był recenzentem mojego doktoratu, również bardzo go cenię.

gwk: Bardzo słusznie. Ciekawa byłaby anonimowa ankieta przeprowadzona w kręgu osób uważających się za ekonomistów, w której poproszono by respondentów o wymienienie najwybitniejszych ekonomistów Polski. Uważam, że najczęściej przywoływano by tych najbardziej znanych, bo najgłośniejszych w mediach. Wątpię, aby znalazł się w tym gronie Profesor Szymański, który nie wygłupia się w telewizji i nie wypisuje nonsensów w "Gazecie Wyborczej" czy jakimś opiniotwórczym, niestety, tygodniku.

MWK: To znaczy, że uważa Pan Profesor, że z nauką – tą prawdziwą, przez N – mamy do czynienia, także w ekonomii, jedynie wtedy, gdy wyniki badań wnoszą nowe elementy?

gwk: Nauka to jest tworzenie wiedzy poprzez kreowanie wartości dodanej, a więc dokładanie do już istniejącego zasobu wiedzy kolejnych segmentów. Czy trzeba wiedzieć wszystko, co inni wiedzą, aby dołożyć coś nowego? Teoretycznie tak, praktycznie nie. Zwłaszcza, że praktycznie nie jest możliwe, aby wiedzieć wszystko, co inni wiedzą. Natomiast bez wątplenia trzeba bardzo dużo wiedzieć, żeby wiedzieć, czego się nie wie i zadawać sobie trudne pytania. Chodzi o takie pytania, na które ktoś do tej pory jeszcze nie odpowiedział albo

odpowiedział źle. Dlatego tak ważne są mądre pytania. Naturalnie, istnieje duże niebezpieczeństwo wyważania otwartych drzwi. Często stykam się z przypadkami poszukiwania odpowiedzi na pytania, na które ktoś inny już odpowiedział.

MWK: Także w nauce o zarządzaniu?

gwk: Z zarządzaniem problem jest nieco bardziej skomplikowany, bo mamy tutaj wyraźnie do czynienia z równoległym ujęciem deskryptywnym, czyli opisowym (jak działa?) oraz normatywnym, czyli postulatywnym (co robić, by działało lepiej?). Nauka o zarządzaniu nie może ze swej natury być li tylko opisowa. Co więcej, z jednej strony mamy naukę o zarządzaniu, z której to dyscypliny przyznajemy dyplomy MBA oraz tytuły doktorskie i habilitacje, także na mojej znakomitej uczelni, Akademii Leona Koźmińskiego, z drugiej zaś chodzi o zarządzanie jako proces podejmowania decyzji, rozwiązywania konfliktogennych sytuacji, prowadzenia firmy. Gdy byłem na studiach, to nauczano nas TOZ – teorii organizacji i zarządzania. Od tego czasu nastąpiła istna eksplozja tej gałęzi ekonomii, choć to nie tylko ekonomia, bo poniekąd wiedza interdyscyplinarna.

Odwołując się do własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że gdy byłem dwakroć wicepremierem i ministrem finansów, opierałem się na swojej wiedzy teoretycznej, gdyż skuteczną politykę rozwoju – taką jak "Strategia dla Polski" w latach 1994-97 czy "Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej" w latach 2002-03 – można realizować tylko na bazie poprawnej teorii. Jednakże główne problemy, których rozwiązywaniem się zajmowałem, miały zasadniczo charakter menedżerski. Wykonując rozmaite zadania składające się na całościową strategię miałem nieraz wrażenie, że to operacyjne zarządzanie kryzysem. Poświęcałem gros czasu na rozwiązywanie konkretnych problemów, które nagle się wyłaniały lub które inni świadomie tworzyli, czasami na złość, z motywacji ideologicznych czy politycznych, innym razem, częściej, kierując się partykularnymi interesami. Wiedza teoretyczna – tak z ekonomii ogólnie, jak i z zarządzania w szczególności – jest niezbędna dla skutecznej polityki gospodarczej i sprawnego zarządzania, ale absolutnie niewystarczająca. Dlatego tak często profesorowie zaangażowani do polityki, nawet najlepsi w swojej dziedzinie, nie radzą sobie w gabinetach rządowych i ministerialnych. Co ciekawe, zdecydowanie rzadziej angażuje się ich w biznesie, do prowadzenia firm. Nie nadają się do tego, bo mają umiejętności "z innej półki". Można przez wiele lat znakomicie wyklądać i nawet napisać nowatorski podręcznik akademicki i rozłożyć dobrą firmę w jeden semestr. Oczywiście, zdarzają się wyjątki.

To pewnie dla wielu zaskakujące, ale wykorzystywanie wiedzy ekonomicznej w prowadzeniu polityki gospodarczej stanowi margines. Gdy pierwszy raz wchodziłem do polityki – wiosną 1994 roku, po okresie szoku bez

terapii na początku tamtej dekady – wydawało się, że rządzący wynajmują mnie, bezpartyjnego fachowca i racjonalnego pragmatyka, jak szachistę do rozegrania mistrzowskiej partii. Zakładałem – jak się szybko okazało, dość naiwnie – że rozgrywając tę intelektualną partię będę miał wokół spokój i ciszę, a kiedy poproszę o szklankę wody, to ją dostanę. Przyjmowałem, że będę miał sprzyjające warunki do nieustannej koncentracji na tym, na czym się znam, czyli na grze w szachy, co w tym przypadku oznaczało sterowanie gospodarką poprzez stosowne reformy strukturalne i budowę instytucji służących zrównoważonemu rozwojowi społeczno-gospodarczemu. A to nie tak. W rzeczywistości znakomitą część czasu – z tych kilkunastu godzin pracy przez siedem dni w tygodniu – absorbowała walka o utrzymywanie procesów w ryzach, o to, żeby w ogóle myślenie strategiczne dominowało i nadawać biegowi spraw pożądaną kierunek. Ogrom czasu i energii szedł na pokonywanie politycznych przeszkód, które mnożyły się permanentnie. To wtedy ukułem powiedzenie: "Mnie nie jest potrzebna żadna opozycja, wystarczy własna koalicja". Trzeba było nieustannie zważać na sojuszników-przeciwników, by nie dostać nożem w plecy... Innymi słowy, proporcje aktywności intelektualnej, polegającej na umiejętności czerpania z naukowej, teoretycznej wiedzy, oraz praktycznej działalności politycznej i menedżerskiej były zgoła inne, niż to się wydaje komuś, kto jedynie pracuje na uczelni i bez uprzedniego "frontowego" doświadczenia wypowiada się o polityce gospodarczej czy zarządzaniu.

MWK: A dydaktyka? Jak się ma nauka do dydaktyki, z jednej strony, i praktyki, z drugiej?

gwk: Prowadzenie zajęć z zarządzania to nie to samo, co prowadzenie firmy czy kierowanie finansami państwa. Nawet rzeczy tak prostej, jak jazda na rowerze, nie można nauczyć się z książek, inna bowiem część kory mózgowej kumuluje wiedzę teoretyczną na temat zasad jazdy, inna zaś steruje procesem motorycznym, który powoduje, że nogi pedału, a błędnik umożliwia utrzymywanie równowagi. Może ktoś być zaiste wybitnym uczonym – przez W i U – i być totalnie nieprzydatnym do rozwiązywania jakichkolwiek problemów praktycznych. Bywa też, że znakomity uczony zupełnie marnie wyklada. Takie opinie słyszałem o Profesorze Oskarze Lange, acz sam nigdy się ze względu na różnicę wieku nie zetknąłem.

MWK: Jakie podejście metodologiczne w naukach społecznych, w tym w szczególności w naukach ekonomicznych oraz naukach o zarządzaniu, jest Pana zdaniem najbardziej rozpowszechnione? Jakie narzędzia badawcze w konsekwencji dominują i dlaczego? Z czego wynika powszechność danego, dominującego podejścia metodologicznego?

gwk: Komparatystyka. Kto porównuje, ten rozumie dużo więcej. Im częściej i więcej się porównuje, tym szersze i głębsze jest pole obserwacji. Kto mądrze porównuje, ten wie. Chcąc poznawać świat i mechanizmy rządzące ewolucją współzależnej gospodarki globalnej – a taki przecież ma ona współcześnie charakter i także będzie w przyszłości – trzeba stosować analizę porównawczą. Trzeba też wiele rozmawiać z ludźmi i porównywać, co – czyli dlaczego? – myślą, nawet jak się myślą, co przecież nierzadko się zdarza. Na pewno warto ankietować grupy celowe i zadawać im właściwe pytania. Trzeba też jak najwięcej podróżować. Podróżowanie to nie tylko oglądanie rzeczy ciekawych i pięknych, podziwianie różnorodności natury i kultury. Podróżowanie to porównywanie.

Uważam, że to właśnie porównywanie jest podstawową metodą badawczą, także w naukach społecznych i ekonomii. Cokolwiek się zakłada bądź twierdzi, zawsze dzieje się to na jakimś tle. Gdy coś się obserwuje czy analizuje, to ma to zawsze jakiś punkt odniesienia. Na dobrą sprawę proces naukowy w dużej mierze polega na porównywaniu i wyciąganiu stąd płynących wniosków.

Gdy Pan pyta, jaka jest moja postawa metodologiczna, to powiedziałbym, że jestem ekonomistą uczestniczącym. I porównującym. Uczestniczę w życiu publicznym i prowadzę swe studia interdyscyplinarne wiele podróżując. Czytam różnego rodzaju literaturę naukową, nie tylko ekonomiczną, nie tylko po polsku. Gdy idzie o literaturę anglosaską, nigdy nie czekam na polskie przekłady, tylko sięgam do oryginału. Czas przecież liczy się bardzo. Swoje trzeba wiedzieć i mieć raczej we właściwym czasie, a nie w ogóle. Spotykam się z wieloma ludźmi: z najwybitniejszymi przedstawicielami nauki, którzy już przeszli do historii, z tymi z pierwszych stron gazet, ze świata kultury, polityki i biznesu, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia. Ale interesują mnie także przejawy zwykłej aktywności ludzi, ich kultury czy religie. Rozmawiam też z małuczkami, z tymi, którzy – jak powiadają – wiążą koniec z końcem albo żyją od sezonu do sezonu. Nie tylko kontakty z profesorami, ale i z analfabetami mogą być kształcące. To zawsze pouczające i wartościowe doświadczenie, bo daje materiał do przemyśleń i porównań.

Wiele podróżuję. Zjechałem już 140 krajów. Niedawno byłem w Kolumbii, Wenezueli, Surinamie i Gujanie oraz na Trynidad i Tobago. Przejechałem 10 tysięcy kilometrów podczas 50 dni śpiąc w 35 miejscach. Podróżując samotnie lokalnymi środkami transportu z miejscową ludnością wiele rozmawiałem, nieustannie porównując. Bywałem w sytuacjach niebezpiecznych, niekiedy ekstremalnie trudnych i ryzykownych z powodów logistycznych, klimatycznych, politycznych. I cały czas się uczyłem. Byłem także w Iranie, Katarze, Bahrajnie, Kuwejcie i Algierii. Kolejne wizyty w USA i Japonii. Ponownie kilka razy w Chinach i Rosji, ale także w Hiszpanii i we Włoszech i w jakże wielu innych miejscach. Mógłbym po tych podróżach poprowadzić semestralne seminarium z ekonomii porównawczej albo z

ekonomii rozwoju. Bo gdy podróżuję, to jestem jednocześnie turystą i ekonomistą; staram się obserwować i wyciągać wnioski. W konsekwencji gdy piszę, jak walczyć z biedą, posiadam zupełnie inną perspektywę niż rzemieślnicy i chałturnicy, którzy nigdy prawdziwej biedy małych tego świata na oczy nie widzieli.

Oczywiście, takie podejście bynajmniej nie oznacza, że jeżeli ktoś pisze, dajmy na to, pracę z zakresu socjologii bądź psychologii na temat skuteczności alternatywnych technik penitencjarnych, to musi siedzieć w więzieniu, aby więcej zrozumieć i właściwie zrealizować swe zamiary badawcze. Tym niemniej – acz nigdy w żadnym więzieniu nie byłem i na penitencjarności się nie znam – nie wyobrażam sobie dobrej pracy o więziennictwie napisanej przez kogoś, kto więzienia i system penitencjarny zna jedynie z książek czy filmów. Trzeba czytać, chodzić do kina i odwiedzać sale koncertowe, ale także trzeba z niejednego pieca chleb jeść.

Jestem też ekonomistą uczestniczącym, gdyż miałem okazję weryfikować – sędzę, że z dobrym skutkiem, choć niech już to inni oceniają – swoje teorie w praktyce gospodarczej. Będąc wicepremierem i ministrem finansów Rzeczypospolitej zajmowałem się rozwiązywaniem realnych problemów w polityce ekonomicznej, nie tylko finansowej. Reformy strukturalne i budowa instytucji gospodarki rynkowej, strategia wzrostu i polityka społeczna to zadania tyleż politycznie trudne, co intelektualnie fascynujące. Doradzałem też paru rządów w różnych częściach świata. Wciąż podczas podróży – nawet tych turystycznych, zupełnie prywatnych – spotykam się z politykami i ich doradcami odpowiadając im na wiele pytań, a i sobie jeszcze więcej przy okazji zadając. Tak więc to nie tylko dzielenie się własną wiedzą z innymi, to również nieustanne poszerzanie tej wiedzy.

Jestem też mołem książkowym. Przed telewizorem nie przesiaduję wcale – literalnie zero. W bibliotece, zwłaszcza tej mojej, domowej – dniami i, zwłaszcza, nocami. Notabene, pracuję zazwyczaj do późnych godzin nocnych czy wręcz wczesnych rannych. Zdecydowanie więcej czasu poświęcam na czytanie książek i artykułów niż na poszukiwanie materiałów w internecie. Internet to potęga i korzystam z niego, ale bynajmniej nie dałem się zdominować czy uzależnić. I dlatego każdego, zwłaszcza studentów, zachęcam, by czytali książki. Martwi mnie, że ludzie, także ci kształcący się i prowadzący badania naukowe, czytają coraz mniej książek i fachowych periodyków, ponieważ ludzą się, że w internecie jest wszystko. Otóż dalece nie wszystko. W sieci dominuje informacja niskiej wartości, "na wierzchu" bywa chłam, którego nawet nie warto otwierać. To potężne medium, ale posługiwanie się nim jest ryzykowne, bo łatwo zatracić się i zmarnować czas. Trzeba umieć korzystać z internetu, co wcale nie jest łatwe, bo tu jeszcze bardziej niż w przypadku "twardej", papierowej literatury, trzeba umieć selekcjonować i odróżniać ziarno (mnóstwo) od plew (zatrzesienie!).

Przy tym wszystkim w naukach społecznych należy wystrzegać się snobizmu i mody. To zadziwiające jak w kręgach intelektualnych silne są te w istocie dewiacje. Także podporządkowywanie się poprawności politycznej jest mi obce. Będąc intelektualnie niezależny, mogę sobie na to w całej rozciągłości pozwolić. A więc czytam to, co mądrzy ludzie napisali i słucham, co ciekawego mają do powiedzenia. Cały czas myślę. A jak już sam mam coś do przekazania, to mówię i piszę. Ot, takie jest całe moje życie: czytam, słucham, myślę, mówię, piszę.

Ale też staram się codziennie godzinę biegać. Nie grywam w snobistycznego golfa czy skądinąd fajnego tenisa, co kiedyś robiłem, nie uprawiam też sportów grupowych, wymagających socjalizowania się (kiedyś grywaliśmy w siatkówkę w grupie młodych pracowników naukowych SGPiS), ponieważ nie mógłbym w tym czasie myśleć o tym, co mnie frapuje. A biegając – rozmyślam. To nie jest bynajmniej czas marnowany ani nawet poświęcany. To czas dobrze wykorzystywany. Gdy biegnę, też pracuję, bo myśli biegną razem ze mną, często dużo szybciej. Czy to jest metoda mojej pracy? Tak. Jedni podczas pracy piją kawę albo palą papierosy. Kiedyś, dawno temu, też to robiłem. Pracując w domu zawsze – zawsze – słucham muzyki. Klasyczna, New Age, trochę jazzu. Krótka – w zdrowym ciele zdrowy duch!

Czyli heterodoksja i komparatystyka, interdyscyplinarność i kompleksowość, sceptycyzm i formalna logika, intelektualna niezależność i ciekawość, upór w dochodzeniu do sedna i niepoprawność polityczna, na pewno nonkonformizm – a wszystko to we właściwych proporcjach i sekwencji – to jest moja metodologia badań naukowych.

MWK: Panie Profesorze, opowiadał Pan o swoim uczestniczeniu, o byciu ekonomistą uczestniczącym. Rozumiem, że bez wątpienia kwestia obserwacji jako metody pojawiła się jako istotne doświadczenia w życiu Pana Profesora. Na marginesie chciałem zapytać, czy to nie jest trochę tak, że pisanie o biedzie i rozwoju wymaga uczestniczenia. Przychodzą na myśl skojarzenia z Amartyą Senem, z którym – o ile wiem – też Pan miał okazję współpracować i razem publikować...

gwk: Tak, to wybitny ekonomista. Jeden z tych, od których naprawdę można się dużo nauczyć. I cenię sobie to, że mieliśmy okazję parę razy się zetknąć. Jeszcze więcej kontaktów miałem z Douglassem Northem, Stanleyem Fischerem i Jacobem Frenkielem, a zwłaszcza z Robertem Mundellem, skądinąd Przewodniczącym Rady Naukowej Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER (www.tiger.edu.pl), które założyłem w 2000 roku w Akademii Leona Koźmińskiego i którym wciąż kieruję. Gdy teraz Pan pyta, dochodzę do wniosku, że tak bliska mi heterogeniczność – albo eklektyzm, jak wolą inni, także niektórzy z recenzentów "Wędrującego świata" – w dużej mierze brać się musi z moich kontaktów z plejadą znakomitych mistrzów

ekonomii, ale o jakże różnych orientacjach teoretycznych – od marksizmu i keynesizmu poprzez instytucjonalizm i strukturalizm do monetaryzmu.

Sam przyjąłem postawę ekonomisty uczestniczącego, ale nie w znaczeniu tzw. ekonomii uczestniczącej czy partycypacyjnej (*parecon*). Można w wielu wydarzeniach, zjawiskach, procesach nie uczestniczyć, w takim sensie jak to pojmuję, ale wiem, jak to uczestniczenie wzbogaca. Nie trzeba być biednym, by sensownie ze scjentyistycznego punktu widzenia pisać o biedzie czy też bogactwem, by wyjaśnić teoretycznie istotę i źródła bogactwa. Ale by zrozumieć, co i dlaczego tak naprawdę tam wewnątrz się dzieje, to trzeba tam samemu zaglądać. Łatwiej pojąć istotę nędzy i zaproponować sensowne strategie jej przewycięzania, gdy wędruje się po Boliwii, Laosie czy Malawi i zrozumieć źródła zamożności i procesy doń prowadzące, gdy odwiedza się Norwegię, Szwajcarię czy Kanadę. Kant mógł dochodzić do swych wiekopomnych koncepcji nie opuszczając nigdy Królewca, Darwinowi nigdy by się to nie udało, gdyby całe życie siedział nawet w najlepszej bibliotece w Londynie. Porządny ekonomista nie musi od razu płynąć do Ziemi Ognistej i na Galapagos, gdzie skądinąd też byłem, ale na miejscu siedzieć też nie może. To nie te czasy. Świat wędruje.

Nie trzeba być kilkakrotnie wicepremierem i ministrem finansów w tak kluczowym historycznie okresie i w tak trudnych – i jakże ciekawych! – czasach, by tworzyć zręby teorii transformacji ustrojowej, ale takie unikatowe doświadczenie niebywale wzbogaca warsztatowo i metodologicznie. Gdy ktoś pisze o szybkim wzroście gospodarczym, niekoniecznie musi żyć w kraju, w którym ma on taki charakter, ale dobrze jest, gdy przynajmniej od czasu odwiedzi taką gospodarkę i na miejscu zada sobie kilka pytań, które w innym przypadku nie przyszłyby do głowy. Sam tego często doznaję przy okazji każdej kolejnej wizyty w Chinach. Warto przeto uczestniczyć po to, by wyjść poza wieżę z kości słoniowej, z której przecież nie wszystko widać.

W innych dyscyplinach naukowych, na przykład w medycynie, uczestnictwo polega na czym innym. Trudno być na przykład profesorem pediatrii nie zajmując się leczeniem dziecka. No, ale nie trzeba być chorym, aby zostać dobrym lekarzem. Jednakże by rozumieć istotę choroby i mentalność chorego, a w ślad za tym zaproponować skuteczną terapię, trzeba mieć kontakt z chorymi, a nie tylko z komputerowymi modelami.

Poprzez brak lub nieumiejętność uczestniczenia znakomita część nauki bywa spłycona, niekiedy prymityzowana, pola obserwacji są zawężane. I bywa, że niektórzy piszą, choć w niejednym przypadku nie do końca wiedzą, o czym. Nie pracowali w przedsiębiorstwie, nie byli w polityce, nie obcowali z ludźmi różnych kultur, nie wyrzeli poza opłatki własnej dyscypliny. Nie konfrontowali teoretycznych modeli z praktyczną rzeczywistością. W konsekwencji jakże często mijają się z prawdą. Można podać masę przykładów takich w istocie pseudonaukowych postaw w ekonomii, także w naszej części świata, ostatnio głównie w z związku z próbami objaśnienia i kształtowania

posocjalistycznej rzeczywistości. Szczególnie rzuca się tu w oczy zaimportowana do Polski i niektórych innych krajów regionu, także do Rosji w poprzedniej dekadzie, irracjonalna koncepcja "szokowej terapii".

MWK: Kolejny problem, który mnie nurtuje, to rodzaj dychotomii, którą obserwujemy współcześnie. Z jednej strony mamy do czynienia z gwałtownym rozwojem w połowie XX w., może też trochę wcześniej, podejścia matematycznego w naukach ekonomicznych. Z drugiej strony dynamicznie rozwija się też podejście drugie, które bazuje na opisie, na użyciu języka, słowa. Pan Profesor raczej w swoich publikacjach, szczególnie w „Wędrującym świecie”, nie matematyzuje wywodów. Takiemu podejściu opisowemu, bazującemu tylko na słowie, można też zarzucać brak ścisłości wywodu. Matematyka jest zasadniczo pojmowana jako logiczny, spójny system, nie mający tej słabości. Jak Pan Profesor mógłby skomentować tę dychotomię?

gwk: Uważam, że jedno nie wyklucza drugiego. Jak ktoś nie potrafi posługiwać się językiem matematyki, albo potrafi to robić, ale nie chce z innego powodu nim się posługiwać, to istnieje prawdopodobieństwo słowotoku i braku precyzji. Tym niemniej można posługiwać się tylko słowem, bez używania formuł matematycznych, zachowując bezwzględny rygorizm, poprawność definicyjną i klarowność myśli. Wielkie zachłyśnięcie się matematyką, zwłaszcza w drugiej połowie XX w., choć na pewno wyszło na korzyść naukom ekonomicznym, to jednak w wielu przypadkach prowadziło tę naukę na manowce.

Jest sporo przypadków, kiedy widać absolutną dominację formy nad treścią, kiedy myśl badacza koncentruje się na tym, jak liczyć, a nie na tym, co i po co się liczy. Dzieje się tak, gdy badacze jakby zapominają, w jakim celu tak naprawdę wykonują swoje skomplikowane rachunki. Często błędy podejścia ilościowego polegają na tym, że choć przyjmuje się pewne założenia w toku pracy naukowej, to nie są one weryfikowane. Rezultatem mogą być nieprawidłowe wyniki i wnioski formułowane odnośnie do badanej rzeczywistości. Widziałem pracę opartą o wielkie modele matematyczne, z których wynikało, że im bardziej wykształcone są kobiety, tym wolniejsze jest tempo wzrostu gospodarczego. Wyliczeniom towarzyszyła karkołomna próba interpretacji tego w gruncie rzeczy idiotycznego wyniku. A rzecz – czyli błąd – w tym, że przyjęto niewłaściwe założenia i należało odrzucić ilościowy wynik badań, a nie na siłę "naukowo" go interpretować. Vilfredo Pareto mawiał, że gdy musi znaleźć cenę równowagi pomidorów, to nie wylicza jej w piętrowym równaniu matematycznym, tylko wysyła gosposię na targ...

Współcześnie poważne błędy jakże często przydarzają się tak agresywnie nagłaśnianym w mediach (nie bez powodu) analitykom rynków finansowych. Oni myślą się częściej niż rzadziej z innych przyczyn. Otóż mają się mylić po to, by ich "odkrycia" i obiektywne niby obserwacje i wnioski kształtowały oczekiwania podmiotów gospodarczych – gospodarstw domowych i

przedsiębiorców, oszczędzających i inwestujących – zgodnie z oczekiwaniami tzw. rynku, za którą to zbitką pojęciową kryją się grupy wielkiego interesu, czyli wielkiego kapitału finansowego. W „Wędrującym świecie” szerzej obnażam te mechanizmy. Nie za pomocą wzorów, lecz siłą logiki rozumowania.

Jeżeli chodzi o rozwój nauk ekonomicznych, to zaiste mamy do czynienia z wielkim postępowaniem podczas minionego półwiecza. Jednakże matematyka – w związku z tym, że jest nauką hermetyczną – w sposób znakomity zawęża pole odbiorców tego typu narracji naukowej. Dlatego też postanowiłem zostawić rozważania ściśle matematyczne tym, którzy się na tym znają i umieją to robić dużo lepiej niż ja. Niech każdy robi najlepiej to, co potrafi.

Jeden z moich przyjaciół – akurat nie ekonomista, tylko politolog, a nauki polityczne ostatnio też bardzo się zmatematyzowały, zwłaszcza na gruncie amerykańskim – doradzał mi: napisz książkę wielce uczoną, używając jak najwięcej niezrozumiałych terminów, upstrzoną masą wzorów, tak aby nikt niczego nie rozumiał. Głęboko wzięłem sobie do serca tę odpowiedź i postąpiłem zupełnie odwrotnie. Napisałem książkę naukową, teoretyczną, ale nader przystępną – wręcz, co wielu podkreśla, literackim językiem – bez żadnych wzorów, minimalizując ilość trudnych terminów, a gdy już się pojawiają, bo muszą, objaśniam je w sposób zrozumiały także dla laika. Ekonomia powinna być tak prosta jak to możliwe, ale nie prostsza.

Niedawno czytałem książkę zatytułowaną na wyrost "Krótka historia prawie wszystkiego". Wyszła spod pióra, a raczej komputera fizyka, który donosi o postępie w jego dyscyplinie, o tym jak dochodzono do wielu fundamentalnych odkryć w tej dziedzinie wiedzy, gdzie z natury rzeczy matematyka musi mieć dużo większe zastosowanie niż w ekonomii. Przytoczony jest tam przypadek jednego z wielkich XVIII-wiecznych fizyków, który specjalnie formalizował wszystkie swoje wywody i hermetyzował język, aby w ten sposób opędzić się od ignorantów. Skutecznie.

Ale nie tędy droga, zwłaszcza w naukach społecznych, w tym w ekonomii. Tutaj bowiem wdrażanie – a dobra nauka to taka, która da się wdrażać z czasem do praktycznych rozwiązań – polegać musi na rozpowszechnianiu wiedzy. Tylko wtedy jest szansa na przebicie się pewnych prawd z teorii do praktyki. Innymi słowy, idzie tu o popularyzację wiedzy. Choć to nader trudne, to jednak czasami możliwe, że ktoś potrafi równocześnie tworzyć nowe segmenty wiedzy i je rozpowszechniać wokół. W ekonomii wymaga to pisania w sposób klarowny i przystępny, posługiwania się zrozumiałym językiem i trafiającymi do czytelnika słowami zamiast skomplikowanej matematyki. Niestety, zwiększa się przy okazji pole ataku ze strony ignorantów, którym się wydaje, że znają się na tym, o czym piszemy i mogą wygadywać swoją niewiedzę, bo papier jest cierpliwy, a internet jeszcze bardziej. Jeżeli uczonek-ekonomista pisze pracę, która jest niejako niekończącym się wzorem matematycznym, to wydaje ją w nakładzie 200 egzemplarzy, bo tytuł znawców przedmiotu może ją zgłębić i pojmie. Przy okazji naraża się tylko na

ataki ze strony innych zmatematyzowanych ekonomistów, którzy potrafią próbować ją zrozumieć i, być może, wychwycić jakiś błąd formalny albo niewłaściwe założenia. Ignoranci milczą. Gdy natomiast ukazuje się praca taka jak „Wędrujący świat” – dzieło interdyscyplinarne, napisane w sposób niekonwencjonalny i eklektyczny, z pozycji niepoprawności politycznej i w nurcie komparatystycznym, a zarazem zrozumiałym językiem – można by spodziewać się ataków z wielu stron. Tak się jednak ze względów merytorycznych nie stało, gdyż – jak sędzę – argumenty są przekonujące, a linia teoretyczna jasna i akceptowana. To akurat może nie podobać się tym, którzy racji nie mają, ale to już ich zmartwienie.

Tak więc wielu mamy ekonomistów, rozmaite metodologie, odmienne aksjologie, w ramach których zawsze plasować musi się ekonomia. Podczas „Forum Gospodarczego” w Krynicy jeden z dziennikarzy zadając mi pytanie o Euro użył zwrotu, że „przecież wszyscy ekonomiści mówią...”. Uprzejmie mu odpowiedziałem, że zwrot ten jest wielce nieprecyzyjny. Powstaje pytanie, kto to są ci "wszyscy ekonomiści", na których tak chętnie powołują się dziennikarze? Czy on sam jest jednym z grona tych "wszystkich ekonomistów"? Czy analitycy bankowi, jakże chętnie przez media nazywani "ekonomistami", to są ci "wszyscy ekonomiści"? Czy publicyści piszący o gospodarce, finansach, handlu, zarządzaniu, polityce ekonomicznej, globalizacji – a kształtują oni poglądy wielu ludzi jeszcze bardziej niż profesorowie, których wraz z doktorami habilitowanymi jest w Polsce już ponad 1500 – to też "wszyscy ekonomiści"? Czy może wreszcie dziennikarze poczytnych dzienników i portali internetowych to też jedni z owych "wszystkich ekonomistów"? Rzecz w tym, że są ekonomiści uczeni, uczący się i niedouczeni. I dlatego nigdy "wszyscy" nie mówią tego samego.

MWK: Książka Pana Profesora bardzo mi się podoba, ponieważ wiele rzeczy jest w niej powiedziane po raz pierwszy. Na przykład kwestia oceny społecznej roli głównych ekonomistów banków. Pan Profesor jednoznacznie wypowiada się na ten temat. Chyba po raz pierwszy pojawia się publicznie taki głos.

gwk: Tak, bo dla mnie najważniejsza jest prawda. Przecież poza prawdą kończy się nauka, a zaczynają interesy albo ideologia, często też doktrynerstwo. A tych "bankowych ekonomistów" może sobie tutaj darujmy, gdyż oczywiste jest, że nie zajmują się oni nauką, lecz lobbieniem na rzecz swoich mocodawców. Ponadto wielu z nich tkwi w gorsecie neoliberalnego dogmatyzmu. Akurat ta grupa ekonomistów – czy może poprawniej analityków rynków finansowych – ma wyjątkowo zawężone spojrzenie i, choć bogatą z formalnego punktu widzenia, to jakże intelektualnie ubogą metodologię badań. Absolutny przerost formy nad treścią! I nie ma się o co obrażać, tylko trzeba to zrozumieć.

Sam natomiast próbuję zrozumieć i teoretycznie zinterpretować sprawę zupełnie fundamentalną, czyli dziejowy proces rozwoju. Gdy to już się udaje na

gruncie ujęcia deskryptywnego (koincydencji teoria rozwoju), przechodzę do ujęcia normatywnego i proponuję, co i jak czynić, aby ten nasz świat zmierzał we właściwym kierunku (nowy pragmatyzm). Będąc intelektualnie niezależny – wyzwolony z wszelkiego fundamentalizmu i nie ulegając żadnym naciskom czy modom, a zarazem wyznając aksjologię postępu – odpowiadam najlepiej, jak potrafię, na szereg pytań, głównie merytorycznych, ale również metodologicznych.

Pisząc „Wędrujący świat” niejednokrotnie zastanawiałem się nad kwestiami metodologicznymi. Można wyobrazić sobie tę książkę bez pierwszego rozdziału zatytułowanego "Świat, słowa i treści, czyli jak się rodzi prawda, błąd i kłamstwo w ekonomii i polityce i co czynić, by prawda brała górę". Ale gdy już się całą pracę przeczyta, to widać, że rozdział ten – tak metodologiczny, jak i merytoryczny; zarówno naukowy, jak i polityczny – jest niezbywalny i musiał być napisany. Rozważam w nim bowiem kategorie prawdy i nieprawdy, a w ramach tej drugiej istotę błędu i kłamstwa w ekonomii i polityce. Wielu ekonomistów nie ma racji. Jeśli ktoś jej nie ma, to może się mylić. Gdy pod siłą kontrargumentów to zrozumie i weryfikuje swoje niesłuszne poglądy, jest to wybaczone. Gdy z uporem nie zmienia swych błędnych zapatrywań, bo popada w doktrynerstwo, to kończy się nauka, a zaczyna wiara. Wiara to nie wiedza. Jest dobra w religii, lecz nie w nauce. Ale ktoś nie mając racji może po prostu kłamać, co z pewnością częściej przydarza się w polityce gospodarczej (i w polityce w ogóle) niż w ekonomii jako "nauce". Tym razem słowo to jest w cudzysłowie, bo kto kłamie, ten się nie myli, tylko celowo – ze względu na doktrynerstwo, bądź, częściej, interesy – innych wprowadza w błąd. I to już z nauką nie ma wiele wspólnego, choć by skutecznie kłamać, trzeba niekiedy dużo, ba!, bardzo dużo wiedzieć...

Nauka jest poszukiwaniem prawdy. W ekonomii sprowadza się to do wychwycenia istoty, a więc mechanizmów przyczynowo-skutkowych i sprzężeń zwrotnych obiektywnie rządzących zjawiskami i procesami produkcji, wymiany i konsumpcji, które poprzez swą powtarzalność dają się ująć w prawidłowości. Gdy te z kolei można ułożyć w większych klasach w prawa, to można iść dalej i z tychże obiektywnych praw budować większą konstrukcję – teorię.

Ekonomia jako nauka dlatego mnie zafascynowała, że badana materia nieustannie się zmienia. Wędruje. To ma – musi mieć – daleko idące implikacje dla metodologii badań. Podobnie jest z nauką o zarządzaniu, która wciąż jeszcze się wyodrębnia i próbuje wybić na w pełni samodzielną pozycję. W ekonomii przeto trzeba mieć rację we właściwym czasie, wobec istniejącej równolegle rzeczywistości, a nie w stosunku do zjawisk i procesów z przeszłości. Stąd, z tej dychotomii w czasie, bierze się jakże wiele błędów interpretacyjnych i aplikacyjnych. Najwybitniejszy polski ekonomista XX wieku – Profesor Michał Kalecki, którego nie dane mi było już poznać osobiście – ponoć mawiał, że to nieprawda, iż politycy nie słuchają ekonomistów. Problem w tym, że słuchają ekonomistów poprzedniego pokolenia. Widać to było na przykład w latach

1980. i 90., kiedy to w niektórych krajach słuchano neoliberalów miast neoinstytucjonalistów. Dopiero ewidentne niepowodzenia tzw. Konsensusu Waszyngtońskiego w Ameryce Łacińskiej w pierwszej połowie minionej dekady skłoniły Bank Światowy do zwrócenia większej uwagi na neoinstytucjonalizm. W Polsce, o dziwo, jeszcze w 2009 roku posłuch mają neoliberalowie, jakby mało było kompromitacji tej doktryny ekonomicznej, która doprowadziła nie tylko do serii ewidentnych niepowodzeń w Polsce, ale nade wszystko do rozległego kryzysu światowej gospodarki w latach 2008-10.

Profesor Edmund Phelps, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2007 roku, podczas naszego panelu na Forum Ekonomicznym w Krynicy jesienią 2009 roku powiedział, że w ekonomii bardzo długo trwa proces dochodzenia do jednolitego stanowiska. Sam jakże długo musiał czekać na tegoż Nobla. Gdy pierwotnie zgłosił swą koncepcję tzw. złotej reguły akumulacji – a było to jeszcze w 1961 roku – nie zyskała ona powszechnej akceptacji. Pamiętam, że gdy spotkaliśmy się pierwszy raz – w Nowym Jorku w 1990 roku – bynajmniej nie wszyscy podzielali poglądy Phelps'a. Doszło do tego później i dzisiaj jest to już jeden z teoretycznych standardów ekonomii neokeynesowskiej. I bynajmniej nie chodzi tu o zgodność poglądów w znaczeniu konsensusu, bo – jak piszę w "Wędrującym świecie" – w nauce nie ma miejsca na konsensus. To jest dobre – i pożądane – w polityce, a w nauce albo się rację ma, albo nie. Trudność w tym, że ekonomia to nauka "miękką" – nie tak jak matematyka czy chemia – gdyż z jednej strony ewoluuje nieustannie badana materia, z drugiej zaś wciąż wikłamy się w wartości, które przecież też nie stoją w miejscu. Wszystko wędruje i dlatego niekiedy tak trudno przebić się ze swoimi naukowymi racjami. Zwróćmy uwagę chociażby na dobór danych do prowadzonych analiz, które potem bywają podstawą wniosków i syntez, którym przypisuje się charakter naukowy. Otóż występuje tu dość daleko posunięta dowolność co do tego, na jakich danych się opierać. Jakże często są one tendencyjnie dobierane pod kątem dopasowania do z góry założonej hipotezy. Baza danych, na której opiera się wnioskowanie, bywa celowo zawężana, a przecież zawsze występuje określona koincydencja uwarunkowań zjawisk i procesów.

MWK: Co Pan Profesor robi w takich sytuacjach? Jaka jest Pana metoda?

gwk: Gdy istnieje problem wyboru danych, na których ma oprzeć się obserwacja oraz wnioskowanie - a w ekonomii jako w nauce "miękkiej", politycznej i dotyczącej "wędrującej" rzeczywistości jest to dość częsty przypadek - świadomie i celowo wybieram dane, które utrudniają przeprowadzenie wywodu i dowodu. Wtedy wymaga to silniejszej i głębszej argumentacji i, koniec końców, jest bardziej przekonujące. Niestety, często spotykam się z postawą odmienną, kiedy to nie tylko dobiera się wygodne dane, ale wręcz nimi manipuluje czy kreuje tak, by pasowały do głoszonego poglądu. Tu, w moim

przekonaniu, kończy się już nauka, a zaczyna tania publicystyka, lobbying, polityka, ideologia. Raz jeszcze warto przywołać tu neoliberalizm, tym razem jako pseudonaukowy nurt we współczesnej ekonomii. Co ciekawe, a nawet zdumiewające - i smutne - wcale nie wiele lepiej jest w innych dyscyplinach nauki, także w tych "twardych", łącznie z fizyką i chemią, nie wspominając już o medycynie, farmakologii, biotechnologii czy, a ostatnio zwłaszcza, ekologii. Natknąłem się niedawno na wyniki badań w tej materii opublikowane na łamach "Public Library of Science". Otóż gdy zapytano samych naukowców, czy zdarzyło im się choć raz w życiu naciągać dane czy wręcz je fabrykować, jedynie 2 procent przyznało się do takiego grzechu. Ale już 10 procent przyznało, że zdarzało się pomijać niewygodne dane albo przytoczyć te, które były niewygodne dla podtrzymania prezentowanej linii rozumowania. Nie mam żadnych wątpliwości, że w naukach ekonomicznych musi to być znacznie więcej, choć nie wiem, ilu z adeptów ekonomii przyznałoby się do takiego występku podczas najbardziej nawet sekretnej spowiedzi. Gdy zaś tych samych osób zapytano, co sądzą o tym w odniesieniu do kolegów po fachu, to w ich subiektywnym odczuciu aż 14 procent badaczy fałszuje i fabrykuje dane, którymi się posługują. Wskaźnik ten skacze do zatrważających 46 procent w przypadku podejrzeń i oskarżeń o przeprowadzanie błędnych metodologicznie eksperymentów, celowe pomijanie faktu istnienia informacji sprzecznych z lansowanym poglądem, czy wreszcie fałszywe interpretowanie prawdziwych danych.

MWK: Chciałem zapytać też o kwestie studium przypadku jako metody. Ja generalnie obserwuję, jak często korzysta się z tego narzędzia badawczego. Wydaje mi się, że można postawić taką tezę, iż studium przypadku jest bardzo wartościową metodą poszukiwań naukowych, ponieważ jest ona bliska rzeczywistego świata, bliska tego, co faktycznie dzieje się w gospodarowaniu. Wiadomo, że Harvard propaguje tę metodę w edukacji. Czy Pan Profesor podziela entuzjazm dla studium przypadku jako metody badawczej, jako narzędzia?

gwk: Nie wiem czy aż entuzjazm, ale na pewno jest to bardzo użyteczne. Dlatego też jestem zwolennikiem stosowania studium przypadku, o ile tylko ułatwia to wychwytywanie obiektywnych prawidłowości. Z pewnością bardziej w nauce o zarządzaniu – a tego dotyczą zasadniczo harwardzkie *case studies* – niż w klasycznej ekonomii. Ale jest wiele pytań i problemów, na które można udzielić odpowiedzi, czy też znaleźć rozwiązania bez uciekania się do tej metody. Tak długo jak polega to na modelowaniu i symulacjach służących odwzorowaniu rzeczywistości, może to być płodne i przydatne.

Zdarza się wszakże ekonomiczne eksperymentowanie na żywym organizmie społecznym. A przecież ekonomia nie jest nauką laboratoryjną. Gdy przyjrzeć się bliżej różnym sposobom przeciwdziałania inflacji podczas

minionych z górą 30 lat, to było to w pewnym sensie pasmo eksperymentów. Podobnie rzecz ma się z prywatyzacją czy z reżimami kursowymi w różnych krajach, także w Polsce. Przetestowano na nas w trakcie wielkiej posocjalistycznej transformacji wszystkie koncepcje systemów kursowych, także te, których przedtem nikt nigdzie nie stosował. Podobnie prywatyzacja była nie tylko sposobem poprawy efektywności gospodarowania, dla jednych, i krociowych interesów, dla drugich, ale także swoistym laboratorium, nader ciekawym "studium przypadku". Ileż doktoratów i artykułów, książek i rozpraw powstało przy tej okazji!

Tak to już jest, że z czasem cała epoka może być w nauce potraktowana jako jedyne w swoim rodzaju "studium przypadku". Historycznie biorąc, można tak postrzegać również naszą ustrojową transformację minionego dwudziestolecia, która dla nas jest próbą stworzenia lepszego systemu politycznego i ekonomicznego, dla innych zaś jeszcze jedną okazją do poeksperymentowania. Tak więc najlepiej, gdy studia przypadków nie wychodzą poza sale seminaryjne i uniwersyteckie ćwiczenia.

MWK: Rzeczywiście, niektórzy mówią o eksperymencie w Polsce z sarkazmem, pośrednio dezawuuując wartość przemian, które się dokonały. Ocena jest jednak chyba niejednoznaczna: można mieć różne podejście do bilansu zastosowanych środków i efektów.

gwk: Cóż, bywają eksperymenty doraźne, zdarzają się i historyczne. W fizyce prowadzi się eksperyment zmierzający do weryfikacji hipotezy o istnieniu cząstek Higginsa (tzw. boskie cząstki), co ma olbrzymie znaczenie dla pełniejszego zrozumienia istoty wszechświata, a zwłaszcza jego powstania (stąd "boskie"). W naukach społecznych możliwości eksperymentowania są zdecydowanie bardziej ograniczone. Nieprawdą jest, że ich nie ma w ogóle, bywa bowiem, iż się do nich ucieka, choć nie mówi się o tym otwarcie *ex ante* z tej oczywistej przyczyny, że jest to politycznie niepoprawne, a przede wszystkim moralnie naganne. Ale przecież słyszy się – sam też słyszałem na przykład w Międzynarodowym Funduszu Walutowym – "spróbujmy i zobaczymy, co z tego wyjdzie". W polskich realiach takim wielce nieudanym eksperymentem była tzw. szokowa terapia z początku lat 1990., kiedy to koszty okazały się niepomiarowo większe niż zakładano, rezultaty zaś daleko mniejsze.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację: ktoś jest głęboko przekonany do określonej, teoretycznej koncepcji zarządzania kursem walutowym i w związku z tym uważa, że ma prawo ją przetestować. Jeżeli na skutek takiego w istocie rzeczy eksperymentu okazuje się, że oparta na tych założeniach teoretycznych praktyka gospodarcza doprowadziła do większego rozwarstwienia społecznego i niższego tempa wzrostu, aniżeli by miałyby to miejsce przy odmiennej opcji, to na pewno wzbogaca się zasób naszej wiedzy. Tak jak to było na przykład przy zbyt długim okresie utrzymywaniu sztywnego kursu złotego wobec dolara

podczas "szokowej terapii" (od stycznia 1990 do maja 1991 rok) czy też podczas stosowania całkowicie płynnego kursu, bez jakiegokolwiek interwencji, co doprowadziło do szkodliwego przewartościowania złotego w latach 2006-08. Przy okazji ktoś się nieźle wzbogacił, ktoś inny sporo stracił, ale jeszcze ktoś inny napisał w oparciu o takie "doświadczenia" skądinąd interesujący referat. Przykład ten pokazuje, że ekonomia na swój sposób jest nauką, w ramach której także możliwe jest eksperymentowanie i testowanie teoretycznych hipotez. Rzadko, ale bywa to możliwe. W odniesieniu jednak do przytłaczającej większości teoretycznych założeń takich możliwości nie ma. To nie jest tak, że raptem wpadniemy na jakiś kolejny "cudowny" pomysł i sprawdzimy w praktyce, jak to działa. Ale bywają takie okresy w historii i są takie miejsca, gdzie pewne koncepcje ekonomiczne można testować. Natomiast na długą metę wszystkie one są weryfikowane przez bieg dziejów. Tyle że wtedy wyciągane wnioski dotyczą przeszłości, podczas gdy bieżąca rzeczywistość jest już czymś innym, a realizowana polityka odnosi się do kształtowania przyszłości.

W 1990 roku uczestniczyłem w międzynarodowej konferencji na temat roli kursu walutowego w polityce stabilizacyjnej. Konferencja odbywała się w Berlinie Zachodnim. Mur jeszcze stał, ale można było już przezeń przechodzić. Po wystąpieniu referenta z Argentyny – a naonczas była to wyjątkowo zdestabilizowana gospodarka, uwikłana w hiperinflację, co miałem okazję obejrzeć, jako ekonomista uczestniczący, odwiedzając ten kraj kilka miesięcy wcześniej – Profesor Robert Mundell (wtedy się poznaliśmy) podziękował Argentynie za wielki wkład, jaki wniosła do rozwoju ...teorii monetarystycznej. Tyle co tam eksperymentowano w latach 1980 trudno byłoby sobie wymarzyć na amerykańskich uniwersytetach! Powiedziałem wtedy, że mam nadzieję, iż w roku 2000 nie będziemy dziękować Europie Środkowo-Wschodniej za rozliczne eksperymenty wnoszące wkład do teorii transformacji systemowej. Jakże się myliłem! I choć po części było to nieuniknione, także po części było to sprowokowane...

MWK: Widzę, że Pan Profesor tutaj dostrzega znaczenie kontekstowego spojrzenia ekonomii. Wydaje mi się, że zdecydowanie dominowało ono w historii myśli ekonomicznej. W zasadzie od Smitha – poza na przykład Ricardo, który myślał abstrakcyjnie, ale też był uwikłany w kwestie polityki Anglii w tamtym czasie – bardzo mało było w ekonomii osób prawdziwie zdystansowanych od tła historycznego w nauce.

gwk: Trzeba być dobrym znawcą historii myśli ekonomicznej, aby to ocenić. W "Wędrującym świecie" podchodzę do tego metodologicznie szerzej. Otóż moim głównym celem jest pokazanie przyszłości poprzez pryzmat obiektywnie działających mechanizmów oraz rządzących nimi prawidłowości i praw. Jeśli są zaiste obiektywne i jeśli doprawdy je pojmujemy, to muszą rządzić także w przyszłości. Nie zawsze, ale w przewidywalnym horyzoncie czasowym. By

wszakże móc pokazać tę przyszłość, trzeba potrafić teoretycznie zinterpretować teraźniejszość. By z kolei to mogło się udać, koniecznie należy zanurzyć się w przeszłość. Taka jedyna w swoim rodzaju wędrówka w czasie jest metodologicznie niezbędna po to, by sensownie poruszać się w ogromnej przestrzeni problemów ekonomicznych. Dlatego właśnie zarówno kontekstowe spojrzenie w ekonomii, jak i historię gospodarczą postrzegam jako ujęcia metodologicznie wielce pomocne i w istocie przy studiach z zakresu makroekonomii, ekonomii politycznej, ekonomii rozwoju i wreszcie polityki gospodarczej niezbędne. Dodam, że kontekst historyczny zawsze plasowany musi być w konkretnym systemie wartości. To zdumiewające, jak ekonomiści w swoich rozważaniach stronią od analizy wartości. A przecież nie da się tego świata ani zrozumieć, ani tym bardziej zmienić na lepsze abstrahując od roli wartości w aktywności gospodarczej człowieka i społeczeństwa.

MWK: Wróćmy na koniec do wartości. Podkreśla Pan Profesor, że nie uciekniemy w ekonomii od refleksji na temat ich znaczenia. Ja też jestem zdania, że tak być powinno i że to jest ważne.

gwk: Można i trzeba uciekać od przeidealizowania, ale nie od wartości. To jest w ekonomii po prostu niemożliwe. Jeden z rozdziałów "Wędrującego świata" zaczynam od maksymy: "Dojść do idealnego świata nie sposób, ale iść trzeba". W mojej metodzie badań – od analizy do syntezy – ujęcie opisowe stanowi punkt wyjścia, który musi prowadzić do ujęcia normatywnego, a więc w istocie wartościującego. Postulując szybki rozwój, ale zarazem zrównoważony nie tylko finansowo, bo też społecznie (akceptacja dla istniejących nierówności w podziale i określony stopień spójności) oraz ekologicznie (niezbędna harmonia w procesie wymiany między człowiekiem i jego przyrodniczym środowiskiem), opowiadam się za określonym systemem wartości.

Zawsze przeto punktem wyjścia normatywnej ekonomii są wartości. A te, jak wiadomo, bywają różne. Neoliberalizm uczynił z chciwości cnotę, z wzbogacania się jednych – mniejszości – kosztem innych – większości – pożądaną wartość. Wartości bowiem wcale nie muszą być pozytywne. Bywa, że są jednoznacznie negatywne. Chodzi tu bowiem o preferencje, które poprzez motywacje uruchamiają działania, w tym wypadku ekonomiczne. Nie zawsze, a już na pewno nie dla wszystkich są to działania konstruktywne podwyższające stopień zaspokajania potrzeb. Maksymalizacja zysku bez obracania uwagi na uboczne tegoż konsekwencje dla dezintegracji społecznej czy skażenia naturalnego środowiska to też wartość, tyle że nie przyświecająca ekonomistom, których teoria ma służyć postępowi cywilizacyjnemu. A mnie właśnie taka interesuje.